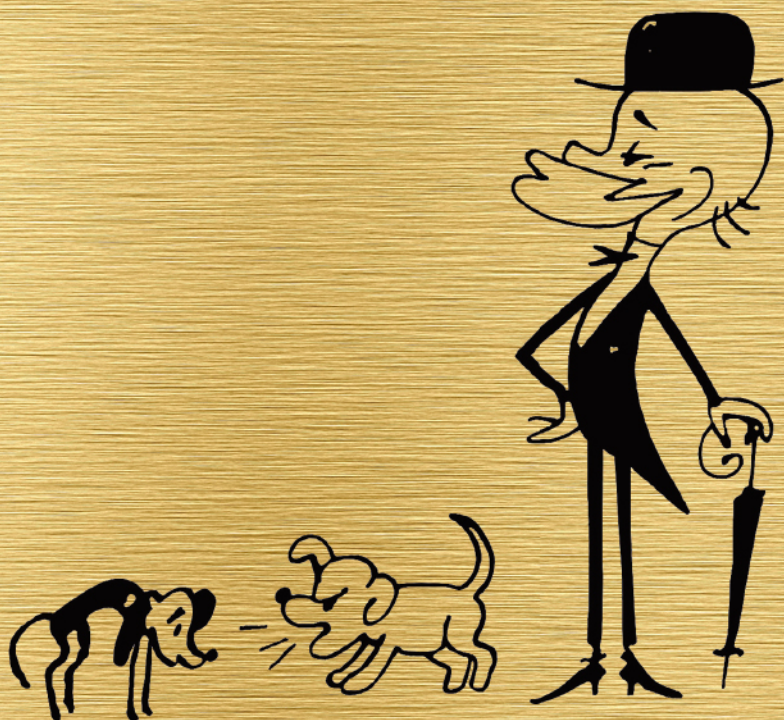


Stanisław

WALTOŚ

Czy profesor powinien mieć psa...
i inne eseje



Czy profesor powinien mieć psa... i inne eseje

Stanisław
WALTOŚ

**Czy profesor powinien mieć psa...
i inne eseje**

2. wydanie

Wydawca
Joanna Dzwonnik

Redaktor prowadzący
Kinga Zając

Opracowanie redakcyjne
Grażyna Polkowska-Nowak
Katarzyna Świerk-Bożek

Projekt okładki
Anna Gogolewska

Grafika na okładce
Zbigniew Lengren, „Przekrój” nr 1072/1965 r.
Za możliwość wykorzystania ilustracji przedstawiającej prof. Filutka
dziękujemy Fundacji PRZEKRÓJ.

Zdjęcie na okładce
Małgorzata Wysowska-Waltoś

prawolubni

Ta książka jest wspólnym dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, byś przestrzegał przysługujących im praw. Książkę możesz udostępnić osobom bliskim lub osobiście znanym, ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A jeśli musisz skopiować część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy prawo i własność
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

© Copyright by Wolters Kluwer Polska Sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-8328-309-8
2. wydanie

Wolters Kluwer Polska Sp. z o.o.
Dział Praw Autorskich
01-208 Warszawa, ul. Przyokopowa 33
tel. 728 313 462
e-mail: PL-ksiazki@wolterskluwer.com

księgarnia internetowa www.profinfo.pl

Spis treści

Słowo wstępne	7
Blaski i przymglenia tradycji uniwersyteckiej	11
Czy w Polsce jeszcze istnieją szkoły naukowe?	41
Nauka pokory, czyli gafy i chochliki drukarskie	59
O jubileuszach i jubilatach słów kilka	77
Księgi pamiątkowe – jednym zaszczyty, innym kłopoty	95
Czy profesor powinien mieć psa?	121
Profesorze, czas na emeryturę. I co dalej?	153
Indeks osób	171
Indeks imion psów profesorskich	183

Słowo wstępne

Czy książka może śpiewać – nie tylko jej autor sposobem swojej narracji, lecz właśnie sama książka swoją treścią, tą wyrażoną wprost, ale zwłaszcza tą ukrytą między wierszami? Moje pytanie może się niektórym wydawać dziwne lub wręcz paradoksalne – jest jednak głęboko uzasadnione wrażeniami, jakie miałem po lekturze prezentowanych tutaj wspomnień i refleksji Stanisława Waltosia.

Autor prowadzi nas bowiem po różnych kruzgankach akademickiego świata, krakowskimi uliczkami otaczającymi jego ukochane Collegium Maius i, o ile wiem, tę pasjonującą podróż w czasie i przestrzeni sam określa w prywatnych rozmowach mianem dywagacji starego profesora. A tymczasem po każdym przeczytanym zdaniu miałem przed oczyma tłumek roztańczonych żaków, nieodłączny element krajobrazu tego magicznego świata, i brzmiały mi w uszach słowa pieśni: *Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus – Radujmy się więc, pókiśmy młodzi.*

Dywagacje starego profesora? Nie wiercie samokrytycznej skromności Autora. Po pierwsze – nie dywagacje, lecz głębokie i mądre refleksje na temat uroku najlepszych akademickich tradycji, po drugie – słowa czułego narratora (by posłużyć się poetycką retoryką Olgi Tokarczuk) zatroskanego o przyszłość idei *universitas*, po trzecie wreszcie – profesora tak młodego duchem, jak żaden inny ze znanych mi wielkich uczonych.

Dajmy więc dalej śpiewać jego książce, od pierwszego do ostatniego słowa, w tonacji żakowskiej pieśni. Dwie następne zwrotki wprawdzie pominęmy, bo rozbawieni żacy bywali nie tylko radośnie dowcipni, lecz także niegroźnie złośliwi. Niech więc wybrzmiały te najbardziej znane i najpiękniejsze słowa pieśni:

Vivat Academia, vivant professores! – Niech żyje Akademia, niech żyją profesorowie!

Prof. dr hab. Jerzy Zajadło

P.S. Byłbym zapomniał, ponieważ tego nie ma w żakowskiej pieśni: *Vivat Canis familiaris! – Niech żyje pies domowy!* Autor pyta nas bowiem w tytule tego zbioru esejów: Czy profesor powinien mieć psa? To pytanie retoryczne – profesorowie miewają wielu przyjaciół, ale niełatwo im znaleźć bardziej szczerych, oddanych i bezinteresownych niż ich ukochane czworonogi.

*Non est beatus, esse se qui non putat
Nie jest szczęśliwy, kto się za szczęśliwego nie uważa*

Seneka za Publiliuszem Syrusem

Blaski i przymglenia tradycji uniwersyteckiej¹

„Tradycja” – słowo z zakłębieniem, zabarwione sentymentem, słane do innych. Niezawodny Władysław Kopaliński informuje, że tradycja to między innymi „przekazywanie z pokolenia w pokolenie obyczajów, przekonań, zasad, wierzeń, sposobów myślenia, odczuwania [albo] postępowania, wydarzeń z przeszłości traktowanych jako historia (choć niesprawdzalnych), umiejętności artystycznych [albo] rzemieślniczych”². Z lubością obracamy słowem „tradycja”, gdy chcemy się odwołać do tego, co wydaje się nam, że zasługuje na kontynuację, co warto wziąć z przeszłości, szczególnie wtedy, gdy kończą się racjonalne argumenty, gdy nie wiemy, jak uzasadnić lansowaną koncepcję, a zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, iż odwołanie się do intelektualnych śladów przeszłości przekona opor-

¹ Tekst ten jest zmienioną i uzupełnioną wersją wykładu wygłoszonego 20 kwietnia 2001 r. w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, opublikowanego w pracy zbiorowej: *Meandry tradycji – zakręty ponowoczesności*, Rzeszów 2002.

² W. Kopaliński, *Słownik mitów i tradycji kultury*, Warszawa 1993, s. 1196.

nych, choćby to odsyłanie niewiele miało wspólnego z rzeczywistą więzią wydarzeń przeszłych z tymi, które mają nastąpić.

Kiedyś bardziej w ustnych przekazach, a dzisiaj utrwalona niemal we wszystkich szczegółach na piśmie i innych nośnikach wiedzy, tradycja jest częścią naszego dziedzictwa.

Ładnie i mądrze, jak zwykle, pisał o niej Aleksander Gieysztor: „Od zarania uniwersytetów współzycie ludzi nauki kształtowało ich postawy i zachowania. Ujmowano je w zasady postępowania, w kategorie etyczne, w postać godności akademickiej. Zasady te wpływały z kolei na treść i formę tego współzycia. Wchodziły do podstaw społecznej kultury europejskiej. Niemało z nich doszło do nas z czasu genezy życia uniwersyteckiego, choć ulegały i one mutacjom”³.

*

Na tradycję uniwersytecką składa się podwójny zbiór wartości. Padło słowo „zbiór”, a nie „system”. Wartości te nie tworzą bowiem ani zbioru wyczerpującego, ani zbioru wewnątrznie niesprzecznego. Nie stanowią także zespołu niezmiennego. Przeciwnie, wiele obyczajów, przekonań, sposobów postępowania ulega ewolucji, w miejsce jednych pojawiają się inne, a przypomnienie dawno już przebrzmiałych wywołuje często uśmiech pobłażania, gest sprzeciwu, a nawet oznaki wesołości. Kto dziś pamięta, że rektora kiedyś tytułowano *dignissimus*, a chyba tylko w Niemczech dzieka-

³ A. Gieysztor, *O dziedzictwie kultury*, Warszawa 2000, s. 133.

na lub panią dziekan tytułuje się jeszcze *spectabilis* lub *spectabile*? Kto dziś wie, czym były bandy korporanckie lub dekiel korporancki i kim był filister? Czy tradycją nie stało się sprowadzanie do fikcji konkursów na obsadę wakującego stanowiska w szkole wyższej lub rozpisywanie takich konkursów z myślą o jednym jedynym kandydacie z góry upatrzonym? Czy tradycją nie stało się poszukiwanie najpierw we własnej szkole wyższej kandydata lub kandydatki na następstwo po odchodzącym na emeryturę profesorze, nie bacząc na to, że gdzie indziej można znaleźć znacznie lepszych?

Podwójność ta wyraża się w dwóch warstwach wartości. Pierwsza, wyższego rzędu, to zespół fundamentalnych zasad, jakimi kieruje się etyka akademicka. To tradycyjne hołdowanie regułom obyczajowym świata akademickiego, takim jak powinność rozwijania nauki, kształcenia kadry naukowej, edukowania społeczeństwa, formułowania wzorców postępowania w społeczeństwie. Dlatego mówi się o dostojeństwie uniwersytetu. Jak celnie, choć nieco pompatycznie, powiedział Kazimierz Twardowski, słynny filozof, z okazji nadania mu godności doktora honoris causa w Poznaniu, dostojeństwo uniwersytetu spływa z „olbrzymiej doniosłości funkcji, którą pełni. Wszak niesie ludzkości światło czystej wiedzy, wzbogaca i pogłębia naukę, zdobywa coraz to nowe prawdy i prawdopodobieństwa”⁴.

Twardowski mówił o uniwersytetach. W przedwojennej Polsce, tuż przed 1939 r., funkcjonowało

⁴ K. Twardowski, *O dostojeństwie uniwersytetu*, Poznań 1933, s. 5.

tylko osiemnaście szkół akademickich, a wśród nich znajdowało się jedynie sześć uniwersytetów. Wygłaszając te słowa w uniwersytecie, mógł jednak mieć na myśli nie tylko uniwersytety. Nazwy tej, być może, używał tylko jako hasła wywoławczego – miał na myśli wszystkie szkoły w tamtych latach nazywane akademickimi i tylko do nich ograniczał swoje przesłanie. Na tych szkołach bowiem spoczywał obowiązek badań naukowych. Dzisiaj to obowiązek wszystkich uczelni, a zatem nie tylko uniwersytetów.

Druga warstwa ma charakter obyczajowy, więcej lub mniej obrzędowo-ceremonialny, niejednokrotnie bardzo spektakularny. Tkwi w niej element symbolizmu, przekazu informacji o poczuciu godności i hierarchii. Tradycja w znaczeniu obrzędowo-ceremonialnym konsekruje, a co najmniej petryfikuje sekwencję czynności, wyznaczając aktorów i określając ich role w czasie uroczystego wydarzenia uniwersyteckiego. Ułatwia także życie oficjelom uniwersyteckim, pozwalając im na wystąpienie w większym lub tylko nieco mniejszym blasku. Ustala reguły zachowania w społeczności akademickiej rozumianej bardzo szeroko, a więc obejmującej kadrę nauczającą, *stricte* badawczą, studentów oraz tak zwaną obsługę.

Tradycja uniwersytecka wcale nie jest tradycją szkół państwowych. Dzieje uniwersytetów europejskich nie są bowiem historią tylko państwowych szkół wyższych. W średniowieczu i czasach nowożytnych, aż do XVIII wieku, rzadkością były uniwersytety w pełni państwowe, a więc takie, które zostały założone przez panującego i pozostawały pod jego kontrolą. Do tych

nielicznych należały: Uniwersytet w Neapolu, założony w 1224 r. przez cesarza Fryderyka II, i Uniwersytet w Halle, powstały w 1694 r. Królewskie lub książęce fundacje w katolickiej części Europy nie oznaczały jednak, że uniwersytety znajdowały się pod kontrolą ich fundatorów. Z reguły pozostawały pod silnym wpływem Kościoła, najczęściej miejscowych biskupów. Nie różniła się pod tym względem od nich Akademia Krakowska, czyli dzisiejszy Uniwersytet Jagielloński, która za kanclerza miała biskupa krakowskiego. Sporo było też uniwersytetów we władaniu zakonu jezuitów, a także uniwersytetów miejskich lub należących do książąt, a w końcu i prywatnych.

Akademia Wileńska, powstała na Litwie w 1579 r., przez 200 lat, aż do reformy dokonanej przez Komisję Edukacji Narodowej, była uniwersytetem jezuickim, a Akademia Zamojska, istniejąca w latach 1594–1784, stanowiła własność prywatną.

W Stanach Zjednoczonych wśród najwybitniejszych, najbardziej znaczących w życiu naukowym uniwersytetów znajdują się uczelnie prywatne, takie jak uniwersytety: Harvarda, Columbia, Stanforda czy Yale.

W latach II Rzeczypospolitej działały również prywatne uczelnie. Były to: Wolna Wszechnica Polska w Warszawie i Łodzi, Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego we Lwowie, Szkoła Nauk Politycznych w Warszawie, Akademia Stomatologiczna w Warszawie, a w Krakowie – Wyższa Szkoła Handlowa. Do tej grupy trzeba także zaliczyć Katolicki Uniwersytet Lubelski, założony w 1918 r., jedyny w Polsce prywatny

uniwersytet przed rokiem 1939, wzorowany na Gregorianum w Rzymie.

Z oczywistych powodów w PRL nie było miejsca na niepaństwowe szkoły wyższe. Te, które zostały reaktywowane po 1945 r., wkrótce upaństwowiono, inne weszły w skład uczelni państwowych już istniejących. Reliktem stał się więc Katolicki Uniwersytet Lubelski, jedyna uczelnia niepaństwowa, ale mocno okrojona i poddana rygorystycznej kontroli władz państwowych. Dwie akademie teologiczne, jakie powstały w 1954 r. – Akademia Teologii Katolickiej oraz Chrześcijańska Akademia Teologiczna – były uczelniami państwowymi, utworzonymi ze zlikwidowanych w tym roku uniwersyteckich wydziałów teologicznych.

Powoływane do życia po 1990 r. wyższe szkoły prywatne, choć tworzone na tak zwanym surowym korzeniu, musiały przyjąć fundamentalne zasady obowiązujące w państwowych szkołach wyższych. Można powiedzieć, że były na nie niejako skazane. W Polsce pod ręką nie było żadnych innych wzorów oprócz tych, do jakich przejęcia obligowała ówczesna ustawa o szkolnictwie wyższym. Przyczyna recepcji klasycznej struktury uniwersyteckiej tkwiła zresztą znacznie głębiej – w fenomenie oferty nowych szkół wyższych.

Nieznana nikomu szkoła wyższa musi się przedstawić kandydatom na studentów i – co równie ważne – przyszłej kadrze nauczającej, którą organ założycielski chce zaangażować. Prezentacja musi być na tyle wiarygodna i atrakcyjna, aby szkoła mogła ich

do siebie przyciągnąć. Nie było nic prostszego, niż powielić uniwersytecką strukturę organizacyjną i wewnętrzną hierarchię stanowisk. Powstaje domniemanie, że nowa szkoła będzie dążyć do zapewnienia akademickiego standardu nauczania. Nie bez znaczenia jest także to, że za recepcją ustroju uniwersyteckiego przemawia osobiste doświadczenie tych, którzy przystępują do organizowania nowej uczelni.

Pojawiły się więc: wydziały, katedry, zakłady, studia specjalistyczne, lektoraty, jak również stanowiska: rektorów, prorektorów, dziekanów, kierowników katedr. Musiał też zaistnieć senat uczelni. Nawet struktura administracji niepaństwowej szkoły wyższej została odwzorowana z klasycznej struktury uniwersyteckiej.

*

Rodowód urzędów uniwersyteckich nie zawsze jest tak stary, jak się mniema. Oczywiście, stanowisko rektora pojawia się prawie równocześnie z powstaniem pierwszych uniwersytetów w dwóch jego odmianach: bolońskiej i paryskiej, a zatem rektora studenta i rektora doktora lub magistra. Obie odmiany znane były w Polsce. W Kazimierzowskim uniwersytecie miał rządzić rektor wybierany spośród scholarów, czyli mówiąc współcześnie – przez studentów, później – w 1400 r. – przywilej fundacyjny króla Władysława Jagiełły powierzył to stanowisko profesorowi wybranemu na rok przez zgromadzenie ogólne. Dziekan to również stanowisko omszałe. Zna ją je wszystkie uniwersytety od chwili, gdy pojawiły

się w nich wydziały, czyli fakultety. Jest to więc urząd prawie równy wiekiem stanowisku rektora.

Inaczej już rzecz ma się z senatem. Ma on w Polsce zaledwie nieco ponad 200 lat za sobą. Przedtem w Akademii Krakowskiej jego funkcję sprawowało *convocatio generalis* – wspomniane już zgromadzenie ogólne. Z wyjątkiem konsekwentnie państwowego Uniwersytetu w Neapolu takie zgromadzenie zbierało się we wszystkich uniwersytetach średniowiecznych. Kiedy nadszedł czas absolutyzmu w nowożytnej Europie, prawo do samorządu uniwersyteckiego stało się jednym z nielicznych wyjątków od zasady rygorystycznego posłuchu, przyjmowania wszystkiego bez jakiegokolwiek oporu, co było przez władzę nakazane, a także pokornego respektowania wszelkich zakazów.

Zastępcami rektorów w szkołach wyższych są oczywiście prorektorzy, a dziekanów zastępują prodziekani. Wypada przypomnieć, że do 1933 r. w Polsce, podobnie jak w większości uniwersytetów europejskich, rektor wydziału po zakończeniu swojej kadencji zostawał prorektorem, a dziekan – prodziekanem. Prorektor i prodziekan to były rektor i były dziekan – stawali się teraz zastępcami służącymi swym doświadczeniem nowemu rektorowi i dziekanowi oraz zapewniającymi ciągłość urzędowania. Po roku 1947 prorektora oraz prodziekana uczyniono zastępcami mianowanymi równocześnie z rektorem i dziekanem. Przywrócenie w 1958 r. i ponownie w 1982 r. wyborów władz rektorskich i dziekańskich w szkołach wyższych niczego już nie zmieniło. Jeżeli nie należy się spodziewać, że w najbliższych latach

pewnego dnia ktoś wpadnie na pomysł powrotu do dawnego systemu, to może spróbować zmiany nazw „prorektor” na „wicerektor” i „prodziekan” na „wicedziekan”, a więc na nazwy bliskie dotychczasowym, ale trafniej wyrażające sens sprawowanej funkcji?

Kadencyjność piastowania urzędów akademickich jest także elementem tradycji uniwersyteckiej. Wszystkie urzędy obieralne w uniwersytetach zawsze były kadencyjne, nie tylko dlatego, że kadencyjność chroni przed samowładztwem, ale i z tego powodu, że umożliwia większej liczbie osób poznanie smaku, a nieraz i goryczy sprawowania władzy. W większości państw w średniowieczu i w czasach nowożytnych powierzanie urzędów w drodze wyborów było czymś wyjątkowym. Tylko urzędy miejskie, i to nie wszystkie, były obsadzone w podobny sposób. Skasowanie wyborów rektora i dziekanów w szkołach wyższych w Polsce w latach 1949–1956 i ich znaczne ograniczenie w okresie 1969–1981 było więc jaskrawym naruszeniem tradycji uniwersyteckiej, pociągającym automatycznie utratę prestiżu godności rektora i dziekanów.

Chyba jedynym oryginalnym urzędem w niepaństwowej szkole wyższej jest stanowisko kanclerza. Nie jest to tylko szef (dyrektor) administracji szkoły wyższej. Decyduje na co dzień o finansach, sprawach kadrowych, lokalach, pozyskiwaniu funduszy, porządku nauczania itp. Jest niezaprzeczalnym dowodem transplantacji do Polski jednego z elementów anglosaskiej tradycji uniwersyteckiej. Tu prosi się o kilka słów wyjaśnienia.